

Nawet Papież powinien być posłuszny*

Tomasz Rowiński

* Tekst jest poprawioną i uzupełnioną wersją artykułu, jaki ukazał się pierwotnie w „Teologii Politycznej Co Tydzień”, nr 90/2017.

Katechizm Kościoła wielokrotnie zajmuje się kwestią posłuszeństwa. I to rysując szeroką panoramę, która umieszcza dzisiejsze życie Kościoła w perspektywie sięgającej aż dziejów Izraela. Możemy tam przeczytać o pierwotnym nieposłuszeństwie Adama, o posłuszeństwie wiary Abrahama, a także o posłuszeństwie Pana Jezusa wobec Ojca i kontrowersjach, jakie Jego postawa wywoływała wśród Żydów. Zatrzymajmy się jednak – w tym krótkim rozważaniu – na posłuszeństwie, które winniśmy Kościołowi w sprawach wiary. W punkcie 891 Katechizm łączy tę kwestię z kwestią nieomylności Kościoła. Cytowany jest tam fragment Konstytucji dogmatycznej o Kościele Soboru Watykańskiego II *Lumen gentium*:

Nieomylnością tą cieszy się na mocy swego urzędu Biskup Rzymu, głowa Kolegium Biskupów, gdy jako najwyższy pasterz i nauczyciel wszystkich wiernych, który swoich braci umacnia w wierze, ogłasza definitywnym aktem naukę dotyczącą wiary lub moralności... Nieomylność obiecana Kościołowi przysługuje także Kolegium Biskupów, gdy wraz z następcą Piotra sprawuje ono najwyższy Urząd Nauczycielski (LG 25; Sobór Watykański I: DS. 3074).

Powyższe formuły soborowe wiążą zatem Papieża – w jego kompetencji strzeżenia, przekazywania i wyjaśniania depozytu wiary – nierozzerwalnym węzłem z Kolegium Biskupów. Co więcej, zostaje tu wyraźnie powiedziane, że nieomylność w sprawach wiary połączona jest z „mocą urzędu”, co oznacza, że sprawy te nie są po prostu w osobistej dyspozycji Papieża. Gdyby były w osobistej dyspozycji, oznaczałoby to, że każdy Papież może nimi rozporzą-

dzać według własnej woli, nawet jeśli nie byłaby ona połączona w swoich uzasadnieniach z tradycją katolicką. Zatem Papież wypełnia swoją osobowością ramy urzędu¹, który nie jest po prostu reprezentacją jego własnej woli mocy czy woli jakiejś frakcji. Tak wyobrażają sobie papiestwo liczni przeciwnicy „urzędu Piotrowego”, ale też różnorodni modernizatorzy Kościoła. W gorszych momentach dla Kościoła stan rzeczywisty zaczyna nieco przypominać te wyobrażenia. Jednak co do zasady, jak zauważył niedawno w pewnej amerykańskiej telewizji kanonista ks. Gerard Murray, „Papież nie może obudzić się rano i stwierdzić, że to, co było cudzołóstwem, od dziś nim nie jest”².

Wypowiedź ta dotyczyła, rzecz jasna, dokonanej przez Papieża Franciszka afirmacji interpretacji adhortacji *Amoris Laetitia* przygotowanej przez argentyńskich biskupów, dopuszczającej w pewnych (dodajmy, że nieokreślonych z góry) sytuacjach do Komunii świętej osoby rozwiedzione i żyjące w nowych związkach. Chodzi tu w praktyce o sytuację przyzwolenia na niezachowywanie warunków, jakie takim osobom wyznaczała – zgodnie z całą tradycją Kościoła i słowami Pana Jezusa w Ewangelii – adhortacja św. Jana Pawła II *Familiaris Consortio*. Bez wchodzenia w szczegóły FC mówi o konieczności wstrzemięźliwości seksualnej w takich związkach lub przynajmniej o rzeczywistą wolę praktykowania takiej wstrzemięźliwości. Wynika to z jednoznacznego traktowania sakramentu małżeństwa, które jeśli jest zawarte ważnie, pozostaje nierozwalne – niezależnie od okoliczności – do śmierci jednego z małżonków. Jak wiadomo, Papież Franciszek swoją opinię zawarł w prywatnym liście, dotyczącą zapytania biskupów argentyńskich, zlecił opublikować w „Acta Apostolicae Sedis” – oficjalnym publikatorze urzędowym Stolicy Apostolskiej – by w ten sposób włączyć swoją wypowiedź do katolickiego nauczania kościelnego. Na osobne rozważanie zasługiwałoby tu pytanie, jaki jest rzeczywisty stopień zaangażowania Magisterium w ten dokument. A liczy się tu i ranga samego pisma, i możliwość jego harmonijnego włączenia w praktykę wiary katolickiej. Jest to jednak wątek wykraczający poza ramy tematyczne tego tekstu.

Zatem zestawienie dogmatycznej nieomyślności Papieża i równoczesnego ograniczenia jego woli przez urzędowy charakter papiestwa z praktyką obecnego, ale i wcześniejszych pontyfikatów

¹ P. Milcarek, *Portrety czy rama*, christianitas.org, 25.02.2013.

² T. Terlikowski, komentarz na portalu małydziennik.pl, 15.12.2017.

³ Więcej na ten temat w studium P. Grada, *Unieszkodliwianie Magisterium. Studium dyskusji o Amoris Laetitia*, 305, christianitas.org, 12.01.2017; także w „Christianitas”, nr 65/2016.

wskazuje na istnienie swoistego rozdzielenia problemu władzy w Kościele. A skoro mamy problem władzy, to nieuchronnie dotykamy również kwestii przeżywania posłuszeństwa przez wiernych. Interpretacja papieska – zostawmy w tym tekście problem tego, co *Amoris Laetitia* mówi naprawdę i czy istnieje prawowierna interpretacja tego dokumentu³ – pozostaje w sprzeczności z wcześniejszą nauką katolicką i wywołuje bez wątpienia zamieszanie – dezorientację – w wielu sumieniach. Można je sformułować w takich pytaniach jak: czy należy w tej sprawie słuchać Papieża, czy należy w ogóle słuchać tego Papieża, aż wreszcie w radykalnej postaci: czy Franciszek jest prawdziwym Papieżem. To ostatnie pytanie jest wyrazem desperacji obecnej w Kościele, ale nie ma podstaw merytorycznych. Zamieszanie to wynika z pewnej niejasności wynikającej z narastających w nowoczesności problemów ze zrozumieniem, czym jest władza i jakie są jej kompetencje. Te kłopoty kompetencyjne nie ominęły także Kościoła. Jednym z elementów tej kwestii jest rosnąca, a dobrze widoczna w życiu katolickim przynajmniej od wieku XIX (mówiąc szczerze, to i znacznie wcześniej), tendencja do cedowania na Papieża całej władzy doktrynalnej, moralnej czy nawet politycznej, i to w sensie całkowicie osobistym, a nie urzędowym. Obrazem tej personalizacji jest to, co zostało już określone mianem „magisterium samolotowego” obecnego Papieża, a znacznie wcześniej w komentarzu na temat recepcji *Vaticanum Secundum* – przez Benedykta XVI – „soborem mediów”. Źródłem tego ostatniego były opinie poszczególnych uczestników przekazywane światu poprzez media masowe, ale także przez komentarze teologiczne. Do tego rodzaju „personalizmu” władzy zaliczyłbym włączanie do nauczania Kościoła prywatnej korespondencji. Czytelnik mógłby postawić w tym miejscu zarzut, że przecież w historii mieliśmy takie przypadki – np. dotyczy to listów Cyryla Aleksandryjskiego do Nestoriusza czy listu Papieża Leona Wielkiego do Flawiana w czasie kontrowersji monofizycznej. Jednak odnosząc się do praktyki kościelnej ogłaszania nauczania w ostatnich stuleciach, publikacja prywatnego listu o niejasnym statusie, uniemożliwiającym odniesienie się do niego – czy to na poziomie wiary, czy rozumu, w obu przypadkach znajomość statusu dokumentu jest konieczna – a potem drukowanie go w AAS, nosi znamiona papie-

skiego decyzyzjonizmu, w którym punktem odniesienia jest osobista opcja. Decyzyzjonizm ten ma konsekwencje zarówno na poziomie traktowania przez Franciszka sprawowanego urzędu, na poziomie traktowania Kościoła będącego mistycznym Ciałem Pana Jezusa, a nie własnością Papieża, jak i na poziomie troski – lub jej braku – o sumienia wiernych. Dodajmy, że nie jest pewne, czy interpretację biskupów argentyńskich, którą potwierdza Papież w swoim liście, można uznać za spójną z tekstem AL. Zatem Papież orzeka, pomijając zwykły, przyjęty i klarujący sposób orzekania, w sprawie, w której treść orzeczenia jest przynajmniej kontrowersyjna i wymagałaby odpowiedniej deklaracji urzędowej nieignorującej nie tylko rozumowej spójności, ale kwestii niezmiennego w tej sprawie przekazu Ewangelii.

Ta personalizacja czy decyzyzjonizm wynika w pewnej przynajmniej mierze z wpływów absolutystycznych w Kościele. Papieski „absolutyzm” wydawał się bowiem długo bastionem katolicyzmu wobec różnorodności ideologii i tendencji politycznych rozpadającej się christianitas. Posłuszeństwo Papieżowi było swoistym testem katolicyzmu, ponieważ urząd ten będąc symbolem jedności Kościoła, stanowił równocześnie znak sprzeciwu wobec podziałów wśród chrześcijan, którzy znajdowali się we wspólnotach odłączonych. W rzeczywistości katolickie oczekiwania, by Ojciec Święty był kimś w rodzaju – jak to kolokwialnie określił o. Paweł Krupa OP – „superbohatera”⁴, wkładały na barki ludzi wstępujących na Stolicę św. Piotra brzemię trudne do uniesienia. Pomimo tego, że przez długi czas wspierani oni byli siłą, jaką daje forma instytucji. Brzemię to okazywało się jednak tym trudniejsze do dźwigania, im bardziej liczone na osobiste zalety Papieża niż na formę i zadania stabilizujące ten urząd. Praktyczne osamotnienie wynikające z absolutyzacji Papieża sprawiło, że ramy urzędu zaczęły być coraz słabiej widoczne, i to właśnie osobowość Papieża, niemal każdy jego gest, stawała się praktycznym zwornikiem całej katolickiej nadziei. Nie będzie przesadą powiedzieć, że ukształtowała się quasi-protestancka mentalność, którą można opisać jako *solus papatus*, analogicznie do *sola scriptura*, *sola fides*, itd.⁵ Papież zaczęli rządzić nie tyle „mocą urzędu”, będącego reprezentacją całej mądrości Kościoła, ale osobiście. To właśnie przesunięcie można określić mianem właściwej absolu-

⁴ Zrobiliśmy z Papieża superbohatera. Z o. Pawłem Krupą OP rozmawia Tomasz Rowiński, „Christianitas”, nr 51/2013.

⁵ Zwracałem uwagę na ten problem już w 2014 roku w tekście *Antyrzymski resentyment dzisiaj*, christianitas.org, 16.10.2014; także w „Christianitas”, nr 52/2013.

tyzacji papieżstwa. Opisuję tu oczywiście pewien model kryzysu, który jest zarysem tendencji.

Osobiste cechy Papieża mogą dać Kościołowi dobre lub złe nawyki, dobry lub zły impuls w aktywności duszpasterskiej, społecznej czy intelektualnej, ale to zachowywanie urzędowości decyzji papieskich formuje Tradycję i zwiiera Kościół, a nie osobiste skłonności Pontifexów. Te co najwyżej mogą skłaniać katolików do skupienia się na pewnych aspektach swojej tradycji, na odnowieniu spojrzenia na liturgię czy ubogich. Nie stawiam tych spraw tu na jednym poziomie, ale staram się pokazać, jak osobowość Papieża może kształtować życie Kościoła w ramach urzędu papieskiego. Gdy osobowość zaczyna się zanadto wybijać ponad urząd, co jest konsekwencją absolutyzacji władzy, gdy trudno ją już odróżnić od urzędu, następnym krokiem okazuje się upowszechniające się w Kościele mylenie woli człowieka z przekazem – treścią – i racjonalnością wiary. Uzasadnieniem wszelkich aktywności okazuje się osobisty, a nie urzędowy charyzmat. To wychodzenie Papieża z formy urzędowej, która sama została ukształtowana w dynamice rozwoju tradycji, w asystencji Ducha Świętego i po założycielskim akcie samego Pana, łatwo staje się pokusą. Pokusą odrzucenia tradycji wiary Kościoła jako rzeczywistej reprezentacji Ewangelii i łaski na rzecz władania charyzmatycznego, niewymagającego żadnej spójności i żadnego pośrednictwa w historii. Symptomy takiej sytuacji mamy i dziś. W praktyce oznacza to, że wielu katolików traktuje Papieża Franciszka nie jak następcę Piotra, który pasie owce i strzeże kluczy, ale jako „nowego Chrystusa”, który „ma władzę” wszystko zmienić – także w sprzecznie wobec bezpośrednich świadków Pana Jezusa.

Odsuwanie w cień tradycji – niedocenywanie jej roli – wzmacnia jednak jeszcze bardziej dominantę woluntarystyczną (personalistyczną) i ułatwia lekceważące traktowanie tych, którzy zwracają uwagę, że Bóg nie może sam sobie zaprzeczać. Jeśli Papież czyni niewyraźnym to, co w samym Objawieniu jest niezwykle wyraźne, bardziej realizuje swoje opcje niż zadania urzędu. Tradycja przestaje być wobec tej sytuacji, w oczach wielu odbiorców przekazu kościelnego, kontynuacją dziejów zbawienia, toczących się w obecności wciąż tego samego Boga, będącego Zbawicielem i Mądrością, a objawia się jedynie jako emanacja czysto ludzkiej

religijności. Czymś, co można dowolnie formować, co nie posiada większej wiarygodności. Sam Papież zaczyna być postrzegany poza kontekstem, który powierzono mu reprezentować. Zatem pokusa papiestwa jest dziś przede wszystkim pokusą władzy nad Ewangelią, nad Słowem Bożym, nad tradycją, którą tu rozumiemy jako realizację dziejów zbawienia i wypełnienie nauczania Pana Jezusa. Okazuje się – możemy wyobrazić sobie taką sytuację – że całe nauczanie Kościoła opiera się na wyczuciu Papieża. Byłby to prawdziwy horror teologiczny.

Niewątpliwie punktem kulminacyjnym tego problemu w dwudziestowiecznej historii Kościoła była reforma liturgiczna, której praktyczna realizacja nie znajduje odzwierciedlenia w oczekiwaniach biskupów całego świata zapisanych w dokumentach Soboru Watykańskiego II, a konkretnie w Konstytucji o Liturgii Świętej *Sacrosanctum Concilium*. Mimo to reforma została przeprowadzona, ponieważ Paweł VI jej chciał w takim sensie, że wydawał zgodę na kolejne jej „momenty” i elementy, a w Kościele panowało przekonanie, że Papież ma całkowitą władzę nad liturgią. Reforma została wprowadzona z taką łatwością, ponieważ patrzono na liturgię jako na coś praktycznego, dydaktycznego. Wprowadzano reformę, zanim dokonała się recepcja twierdzenia, że „liturgia jest źródłem i szczytem życia chrześcijańskiego”. Ta recepcja nawet do dziś dokonała się w niewielkim zakresie. Możemy zatem powiedzieć, że choć wszystko w przypadku zmian w liturgii odbyło się formalnie zgodnie z kościelnym prawem, reforma była odstępstwem od tego, czego na Soborze chciał Kościół. Była pragnieniem pewnej części elit kościelnych, któremu nadano pozory urzędowości, czego najlepszym przykładem jest przekonywanie przez dziesięciolecia wiernych, że stara Msza została zakazana. I ostateczne odrzucenie tego twierdzenia przez Benedykta XVI jako niezgodnego z tradycją. A przecież w praktyce bł. Papież Paweł VI zadecydował, że to, co było do tej pory święte w życiu Kościoła, już takie miało nie być. Przykład reformy liturgicznej rzuca pewne światło na sytuację z adhortacją *Amoris Laetitia*.

W przypadku reformy liturgicznej nie mówimy o kwestii, która przekreślałaby życie i misję Kościoła, jednocześnie widzimy, że jej skutki duszpasterskie są opłakane. Taka jest cena poniesiona za

lekceważenie tego, co Ojcowie Soboru rzeczywiście zapisali jako autentyczną naukę Kościoła, za lekceważące powtarzanie bez zrozumienia cytatu „o źródle i szczycie”, przy jednoczesnym rozmontowaniu kanału łaski, którym jest cała liturgia, a nie tylko same akty sakramentalne. Możemy mówić w tym przypadku o błędzie naprawialnym w jakiejś perspektywie czasu, ale będącym widocznym znakiem konsekwencji zaburzenia rozumienia posłuszeństwa Papieża. Chodzi o posłuszeństwo wobec tradycji, która nie jest zespołem nawyków wynikających z charakterologicznej różnorodności kolejnych pontyfikatów, ale odłożoną w doktrynie, rytach, praktykach, w pobożności, a nawet przedmiotach, praktyczną racjonalnością wiary w prawdę Ewangelii. Z pewną ostrożnością można powiedzieć, że Paweł VI nie rozpoznał wezwania Soboru Watykańskiego, by Papież też był posłuszny, które to wezwanie podpisał razem z innymi Ojcami tam, gdzie Kościół wskazywał na konieczność bardziej kolegialnego podejścia do władzy wiary. Co traktuje się często jako uzupełnienie doktryny o nieomyślności ustalonej na Soborze Watykańskim II.

Dziś sytuacja się powtarza w kontrowersji związanej z adhortacją *Amoris Laetitia*. Nauka *Vaticanum II* mocniej osadzająca Papieża wewnątrz Kościoła, a nie tylko ponad nim, ewidentnie nie została przepracowana, recepcja tych prawd w znacznym stopniu nie nastąpiła. Kolegialność służy głównie do rozmontowywania jedności katolickości, a nie do osłabienia papieskiego decyzyzmu. Podobnie nie nastąpiła recepcja apelu św. Jana Pawła II o przemyślenie sposobu funkcjonowania prymatu Piotrowego. Stoimy obecnie wobec problemu decyzyzmu, który wykorzystuje szacunek katolików wobec urzędu papieskiego dla dekompozycji bardzo delikatnego miejsca nauczania chrześcijańskiego, w którym można zobaczyć właściwą dynamikę kilku katolickich sakramentów. Sakramenty te nie są tylko emanacją ludzkiej religijności, ale widzialnymi znakami niewidzialnej łaski. Małżeństwo, Komunia święta, Spowiedź, a nawet Kapłaństwo są naruszane, gdy ignoruje się zasadnicze znaczenie przywiązania do grzechu cudzołóstwa wprost zapisanego w Dekalogu. Problem polega na tym, że prymat osoby w postrzeganiu papieża sprawia, że w zaprzeczaniu dotychczasowemu nauczaniu wielu katolików nie widzi problemu. Urok osoby okazuje się złudnym przewodnikiem.

Nieurzędowość, personalizizm, absolutyzm papiestwa Franciszkowego bardzo wyraźnie widać w tendencji, która była obecna od samego początku posoborowych Synodów, ale nie ujawniała się tak drastycznie z powodu osobistych nawyków Papieży takich jak św. Jan Paweł II, nawyków opartych na współodczuwaniu z Kościołem wszystkich czasów. Mniej lub bardziej stały się więc Synody jedynie dodatkowym narzędziem wzmacniania osobistej władzy Papieży, gdy tymczasem powinny sugerować kierunek papieskiego urzędowania. To kolejny moment, gdy papieskie posłuszeństwo jest konieczne. Potrzebę wycofania Papieża do urzędowego papiestwa pokazywał Benedykt XVI, rezygnując z ciągłej osobistej kreacji i dystansowania się wobec tradycji Stolicy Apostolskiej⁶. Recepcja tego pontyfikatu – np. ekumeniczny wymiar takiego wycofania – także nie doczekała się zrozumienia w Kościele.

Wróćmy na sam koniec do konkluzji dotyczącej osobistego wymiaru posłuszeństwa, które jest naszym niełatwym obowiązkiem. Papieżowi jesteśmy winni posłuszeństwo synowskie jako Ojcu ze względu na to, co reprezentuje, a nie ze względu na jego osobiste przymioty. Urząd ten jest zwornikiem życia katolickiego. Ma to dwie konsekwencje – nie powinniśmy porzucać Ojca, gdy stawia niepewne kroki, ale też nie mamy kompetencji, by porzucać to, co reprezentuje, nawet jeśli łączą nas z nim wspólne upodobania moralne i estetyczne idące w poprzek tradycji. ■

⁶ Por. mój tekst *Papież jako wydarzenie*, „Christianitas”, nr 52/2013.